

Miron Białoszewski

Dokładane treści

Tajny dziennik 1

Państwowy Instytut Wydawniczy
Warszawa 2022

20 listopada 1975[, czwartek,] w Warszawie na Chamowie¹

Jot² został wpuszczony. Przeważnie mu nie otwieram, ale on nieraz nie puka po swojemu, a dzwoni. Parę razy nabrałem się, ale teraz jestem ostrożny. Ostatnio przyłapał mnie przed domem.

Opowiada o moim ojcu³

— Słuchaj, mam znajomego, który przemieszkiwał u twojego ojca w Miedzeszynie.

— Jak to?

— No, twój ojciec odnajął mu pokój czy łóżko na pewien czas. Prócz tego nocowały tam dwie młode baby. Mieszkały, czy mieszkała jedna, druga tylko nocowała...

— A, ojciec ma takie przybrane siostrzenice. Jedną raz przyprowadził ze swoim kolegą. Ten kolega w andersowskim berecie. Pożyczył ojcu aparat fotograficzny, potem przyszedł do mnie „Niech pan wpłynie na swego ojca, żeby mi oddał aparat”. „A co, był pan u niego?”. „Tak, ale trudno go zastać”. Więc tak się nią opiekowali, tą siostrzenicą. Puściłem *Borysa Godunowa*. Ojciec jej tłumaczył coś o operze

— Słuchaj, Miron, ale to jakieś półkurwy.

— Może

— Podobno one mu nieraz rano każą iść po mleko, same leżą, a on bierze butelkę i idzie.

Opowiadam to Malinie⁴

— On to musi mieć

— Tak, musi — potwierdza Malina — coś babskiego, jakieś baby, bez tego nie może

— Chyba go nie wykorzystują za bardzo

- Nie, on się nie da, nie wygląda na to
- No właśnie, bez bab on by skapcał, usiadłby na krześle i siedział.
- A on ma tyle spraw. Tak się toczy... Mały, gruby... Ciekawy człowiek. O wiele ciekawszy od Romana⁵
- Ludwik⁶ o nim mówi: „Fantasta”.

Raz ojciec przyszedł na plac Dąbrowskiego⁷. Był okres popłochu. Jeden z tych, co wykupują w sklepach.

- No jak, panie Ludwiku? Nie będzie wojny?
 - Nie wiem
 - Zrobił pan jakie zapasy? Lu. rozkłada ręce z humorem
 - Nie
- Wdałem się ja z łóżka
- Zapasy na wojnę? Na jak długo by starczyło?
 - Na pierwszy okres.

Agnieszka⁸ powiedziała

- Ja nie mam szczęścia w miłości

Malina miała już dosyć tych babskich problemów. Poszła do Felka⁹, a on się bardzo ucieszył. I tak są ze sobą.

Ludwik mówi, że Leszek¹⁰ jest niepoczytalny.

Leszek o Ludwiku, że niedouczony. Kiedy nas przesłuchiwali godzinami na Rakowieckiej w 1967 roku, ja miałem osobnego pana, kulawego, Ludwik i Leszek wspólnego, blondyna. Pytali nas, cośmy robili w 56-ym roku w grudniu¹¹. Le. na dowód statystowania w teatrze w Krakowie zadeklamował swojemu panu kawał *Balladyny*

Wróć, panie, wróć, jak gąski
jedna za drugą...

Wspólny pan Le. i Lu. pytał potem Lu., czy Le. jest normalny, na co Lu.

— Normalny, tylko lubi na siebie zwracać uwagę.
I Lu. to powtórzył Le. Le. się obruszył.

Półtora roku temu Lu. sprosił do siebie Grację¹² i mnie. Popijał koniak i oskarżał mnie o nieetykę w *Donosach*¹³. Gracja jako główna ofiara. Gracja się skarżyła, ale Lu. co pewien czas wytaczał jej pretensje o jej książkę o Teatrze Osobnym¹⁴. W pewnym momencie Gracja powiedziała, że ja ulegam różnym przyjaciołom w osądzaniu własnych rzeczy. Że z kim ostatnio przestaję, tego zdanie się liczy. Lu. spojrział na mnie i na Grację zdumiony

— To, co pani mówi, to jest ostateczne likwidowanie człowieka.

W nocy ubieramy się, ja i Gracja. Do wyjścia. Lu.

— Myślałem, że będzie ciekawa dyskusja.

Ja

— To co, odprowadzę Grację taksówką... i może już nie wrócę

— Nie ma po co — Lu. na to.

Miał na myśli, że ani teraz w nocy, ani w ogóle nie ma po co. Ale to dopiero zrozumiałem przez telefon.

Teraz, w listopadzie 1975, po wieczorze u Olgierda¹⁵, na którym zobaczyłem po przerwie Lu. i Lu.¹⁶ (przyszli na zaproszenie Olgierdowej¹⁷, nie moje), umówiłem się z nimi na sobotę. Z początku nie byłem zadowolony z tego nawiązania, bo to trud.

Le., który nie był na wieczorze, bo Olgierd powiedział, że wyjdzie, jak on przyjdzie, więc [Le.] orzekł, że Lu. mi zatruje teraz pisanie. Żeby nie szedł, a poczekał, aż Ludwik się koło mnie nachodzi. Będzie się wtedy liczył ze słowami. Nie poszedłem. Lu. i Lu. dzwonili do Olgierda i Małgosi, co ze mną, czy nie zachorowałem? Więc zadzwoniłem. Bo głupio. I tak się znów nawiązało z Lu. i Lu.

Le. opowiada

— Dzwoniłem do Trzcieńskiej-Kamińskiej¹⁸, mówię, że Leszek. A ona: Czy ten Leszek, co do niej przychodził? Co maluje? Ten przyjaciel pana Białoszewskiego?

— To co za udawanie?

— Ja nie wiem.

— Mówiła poważnie?

— Tak. Ja jej powiem, że tobie się jej rzeźby nie podobają.

— Nie pakuj mnie w to!

— Powiem, że mnie się nie podobają. Mnie!

— Może ona naprawdę chciała się upewnić? Zna innego Leszka?

— Na pewno nie.

— To nie wiem.

— Ja się na niej zemszczę

— Ty lubisz robić rozgrywki z osiemdziesięcioletnimi babami.

— Bo dopiero one się poznają na tym.

A miałem na myśli córkę Konopnickiej Mickiewiczową¹⁹. Obraził się na nią. Przy mnie w Żarnowcu. Przysłała służącą z listem. Nie poszedł. Poszedł grubo później.

21 listopada [1975, piątek]

Le. leży w łóżku po mnie na starym mieszkaniu, mówi o naszych młodych

— Ja ich już tu nie chcę. Ja już ich dawno nienawidziłem. Bo to ta młodość tak się tu wdzierala. Musiałem ustępować.

— Tak?

— A coś ty myślał?

— Aha

27 listopada [1975,] w czwartek

Wzięłam Jadwigę²⁰ do Le.

— Odwiedzisz moje stare mieszkanie. Masz do Leszka dobre *entrées*. Że rozmawiałaś z Pauliną²¹ przez telefon, że nie obrażona na niego za wymawianie, że nie umie starocerkiewnego i że przeszkadzają Miśkowi w Holandii²². Że tylko chora. No i to, że Misiek do niej dzwonił i dowiadywał się o Leszka.

— Właśnie, mam dobre *entrées*.

Za rogiem Świętokrzyskiej Jadwiga wpadła w nastrój przypomnieniowy. W bramie mówi

— Oj, przeżywam to

— Na słuch?

— I na skręty, i to, że po Marszałkowskiej nagła cisza, to myśl, że ja i sama tu byłam i wracałam.

Na schodach znów

— Bardzo przeżywam. Tu miałam wtedy te głosy. Szekspir do mnie mówił.

— To i Szekspir?

— Szekspir, Mickiewicz, Broniewski²³

Le. nie było.

— To nawet lepiej. Dostyc tych schodów. To mi wystarczy.

— To aż tak?

— Aż tak.

Pojechaliśmy do Romana i Ady na Żoliborz. Poustalać sprawy przepisywaniowe. I wziąć maszynę do naprawy, bo Roman odkładacz. Za przepisywanie odpłacam mu się, więc mam śmiałość planować.

Ustalamy, co jak. Rozmowa schodzi na wydawnictwa, politykę wydawniczą, problemy cenzora. Że wydawnictwo przeprowadza swoją cenzurę, żeby niby nie ułatwiać czepiania się cenzorowi.

— Bo nasza cenzura na pewne tematy musi się liczyć z Rosją — mówię — to wygląda na przesadę. Ale oni potrafią. Dam

wam przykład. W trzecim miesiącu mojego dziennikarstwa²⁴ posłali mnie do wypadku na zakręcie śmierci. Wywróciła się ciężarówka, ranni, zabici. Goście z wesela. Zabrał ich pijany Rosjanin po dobrej woli po drodze.

— Oni po pijanemu zawsze mają dobrą wolę.

— Więc ja w swojej naiwności napisałem, że prowadził samochód i wywrócił go „pijany szofer sowiecki”. Chyba dosłownie tak napisałem, co to potem było! Przez miesiąc codziennie dzwoniła do redakcji „Wieczoru Warszawy” ambasada radziecka.

Zeszło na wymianę mojego mieszkania. Jadwiga zwraca się do Romana

— Powinniśmy przypilnować tej zamiany. Roman

— No, ja śledzę ogłoszenia w gazetach.

— W razie czego, niech Miron da mi znać albo pan, a ja już telefonicznie wypytam.

Roman wpadł w jeden ze swoich ulubionych tematów.

— Miron powinien mieszkać w Śródmieściu. Należy mu się to.

— No tak.

— On mógł wyrzucić Leszka²⁵.

— Ee, siłą?

— Siłą.

— Ale to nie Miron.

— Ale można było. Zasadniczo to Leszek powinien się wyprowadzić.

— No, to to wiadomo.

— Ha ha ha... Pewnie.

O wpół do jedenastej Jadwiga

— No, wracajmy. To co, pan Roman odprowadzi nas do przystanku?

— No, może — podejmuję — bo z sercem ostatnio nie za bardzo.

— Odprowadzę, już się ubieram, ale jak dalej dasz sobie radę?

— Do taksówki.

— Ja jeszcze na chwilę tam — Jadwiga na to.

Roman szuka drugich spodni, pies szczeka, piszczy.

— Pies nie pójdzie. Bo to byłoby za dużo.

— No tak, niewidoma, maszyna i pies. I mróz.

Prowadzę Jadwigę do ubikacyjki, z rękami na jej ramionach, za nią, gęsiego, skręcamy pod kątami prostymi. Bawię się w pana Juliana, jej przewodnika²⁶

— Nie tędy, nie tędy, na lewo... pani Jadziu, nie tędy... nie tędy... Tu tu tu, do łazienki.

— Bez sukienki — dorymowujemy Jadzia już w drzwiach intymnych.

— Bardzo dobrze. Zupełnie jak on.

— Nie zawsze z sensem, nieraz słaby sens

— Albo żaden.

— Byleby rym.

— Tak, zasada: byleby rym.

Pies się przewija pod nogami. Dużo go, bo tłusty, długi, kudłaty, krzykliwy.

— Żeby pies nie wyleciał.

— Zamknij go w kuchni.

— Zamknę go w kuchni. Pies do kuchni, no, won! Pies do kuchni!

Wciskamy psa do kuchni. Wyślizgujemy się do przedpokoju, ocieramy się o Jadwigę. Ona czeka.

— No, wychodź.

Wyciąga rękę.

— Tu

— Nie, tu.

— Otworzyłabym do psa.

Wziąłem na chwilę maszynę do pisania. Ale od razu poczułem bólenie za mostkiem.

Wyszliśmy. Taksówki nie było.